

Drogi Kaziu. – JantaZob. list MG do KW z 24 czerwca 1956. bardzo mi się podobał, najlepsza rzecz, jaką napisał, GrubińskiZob. list MG do KW z 24 czerwca 1956. potworny, nie wiem po co to zrobił, bo pisze lepiej teraz niż przed wojną, miałem też zastrzeżenia co do ostatniej sceny u NowakowskiegoWspomnienie Tadeusza Nowakowskiego o Lechoniu kończyło się następująco: „– Musiała się winda zepsuć – zaniepokoił się czyjś głos za moimi plecami. – To niemożliwe, żeby jeszcze jej nie było... Jej! A więc kobieta? Kto? Lechoń także zaczynał być nieswój. Na twarzy miał barwiczkę niepokoju, co mu się rzadko zdarzało, gdyż normalnie odznaczał się widmową bladością lic. Podobny niepokój widuje się nieraz w teatrze na twarzach dworaków, przerażonych nieobecnością Najjaśniejszego Pana, który chociaż w swej nieprzebranej dobroci i wielkiej łaskawości zgodził się zaszczyścić poddanych swoją obecnością – o, despekcie dla gospodarzy! – spóźnia się już przeszło dwie godziny... Wreszcie rozległo się ciężkie stąpanie na korytarzu. Gwar umilkł w pokoju. Nastąpiła nabożna cisza. Lechoń rzucił się do drzwi jak szczupak, inni także podbiegli w tę stronę. Rzeczywiście, winda musiała się zepsuć, bo gość z wysiłkiem łapał powietrze, zasapał się wejściem na schody. Oczom moim ukazała się korpulentna, dobrodusznie wyglądająca kobieta w drogocennym futrze, roziskrzona brylantami we włosach, na szyi, w uszach. Tu diament, tam tiara diamentowa, tam potężne sople kolczyków. Ciężko opadła na fotel. Ręce położyła na poręczy. Zagrały ogniki biżuterii: pierścienie, bransolety, łańcuszki, obręcze kamieniami wysadzone, cała wystawa jubilerska. Wnet buchnęła radość jasnym płomieniem. Przypadano do pulchnych rąk na wyścigi, całowano je z czcią i miłością. Solenizant dwoił się o troił, aby nieba przychylił najłaskawszej pani. Honorowy gość sapał i sapał, a gdy otworzył usta, odezwał się zagniewanym głosem, o dziwo, po polsku, chociaż nie językiem Kochanowskiego czy Mickiewicza: – Wracam z Portorico, z holidays! Gadałam z tymi cornymi diabłami. «Po co się, corne diabły – powiadam – pkacie do naszej Chameryki?». Powiadam im: «Nie pkajta się, corne głuptoki, do Chameryki, bo jesce pozałujeta: dyć tutaj was taxi i żydy-psiejuchy, te adwokaty, pusca w torbami, wim, co mówię, bo ciągiem ino coś płacę i płacę!»... – Ho-ho! Łaskawa pani! – Pani dobrodziko, ho-ho! Rozległy się przymilne śmiechy, a ja sobie pomyślałem: «Żal mi pana, panie Leszku». To jakiś bardzo dziwny świat, w którym twórcy wiersza o Dantem i Beatryczwe przypadło teraz żyć i tworzyć. W pewnej chwili honorowy gość nachylił się poecie do ucha i szepnął na tyle głośno, że można było w promieniu kilku kroków posłyszeć każde słowo: – Ej, panie Lechuń! A cek już pan dostał? Powiedziała: «Lechuń!» Nie «Lechoń!» Widzę go jeszcze, zgiętego przed tym fotelem w pół, jak przywiera ustami do rąk i daje znak oczami, że czek nadszedł w samą porę. Scena ta przez długie miesiące nie chciała mi zejść z oczu. W dwa lata później, będąc z Lechoniem na śniadaniu w «Mazurce», poruszyłem ten wstydlivy epizod. Słuchał z przymrużonymi oczami. – Ho, ho! – roześmiał się w pewnej chwili. – Pyszna scena. Powinien ją pan kiedyś opisać. W ogóle powinien pan kiedyś szczerze napisać, co pan o mnie sądzi. Ale jeszcze nie teraz – zachichotał po swojemu – dopiero w jakimś wspomnieniu, po mojej śmierci. Słowo? – Słowo! –Ale cokolwiek pan o mnie napisze, jedno mam na swoją obronę – dodał poważnie. – Z dala od Warszawy jestem jak ryba na piasku” (T. Nowakowski, Ryba na pisaku, „Wiadomości” 1957, nr 23 (584) z 9 czerwca; przedr. w: Pamięci Jana Lechonia, Londyn 1957 oraz w: Wspomnienia o Janie Lechoni, zebrał i oprac. P. Kądziała, Warszawa 2000. ze względu na damę, ale nic nie mogłem zrobić, bo musiałyby odpaść całe zakończenie na tym epizodzie oparte. JózioJózef Wittlin w liście do Mieczysława Grydzewskiego z 21 czerwca 1957 r. pisał: „Artykuł Tadeusza Nowakowskiego, którego powieść uważam za świetną – bardzo sugestywny i błyskotliwy, ale psuje go «niedozwolony chwyt», jakim, w moim mniemaniu, jest końcowy epizod z tą damą mówiącą «Lechuń» i «cek». Byłem na tych imieninach z Haliną, była i Elżunia z mężem, żadnej takiej damy nie było. Mówią mi, że to postać fikcyjna, ale w takim razie nie wolno cytować rozmowy z Leszkiem, z której wynika, że sam Leszek prosił Nowakowskiego, żeby po jego śmierci opisał ten poniżający epizod. Nie rozumiem tej metody pisarskiej” (J. Wittlin, Listy do redaktorów „Wiadomości”, dz. cyt., s. 203-204). pisał mi, że żadnej takiej damy wtedy nie było: tym lepiej. Wendlowi (przedwojenny współpracownik „Kuriera Porannego” w dziale gospodarczym) przekazałem Twoje słowa. Drukarnia edynburska przysłała list z zapytaniem dotyczącym oprawy i jakiego koloru, odpowiedzieliśmy zaraz, ale do tej pory nie odezwali się. Co do Karczewskiego, myślę, i on ze mną się zgadza, że wszystkie sprawy powinny być załatwione bezpośrednio między Wami, bo na cóż jest moje pośrednictwo. Z Leszkiem było co innego, bo on nie miał żadnych dezyderatów poza tym, aby książka wyszła, nie umiał robić korekty, tom trzeba było przepisywaćTo zdanie na oryginale podkreślone czerwoną kredką, być może przez Wierzyńskiego. itd. Rzecz prosta „Wiadomości” i moja osoba, gdy będzie trzeba, jest zawsze do Twego rozporządzenia.

Zelektryzowała mnie wiadomość o możliwości przeniesienia się Waszego do Anglii. Wydawało mi się, że za Twojej ostatniej bytności miałeś jakieś propozycje finansowe.

Biedny Korzeniewski – Bohdan Korzeniewski przyjechał do Londynu wraz z Teatrem Polskim z Warszawy, 14 maja 1957 r. pisał na ten temat do Tymona Terleckiego: „Dzisiaj ostatecznie zdecydował się wyjazd teatralny do Anglii z Mężem i żoną oraz z Domem kobiet. [...] Wyjeżdżamy stąd 2 czerwca, w Londynie będziemy 4 VI, pierwsze przedstawienie Męża i żony dajemy 6 VI. Pobyt w Anglii zamierzony jest na 3 tygodnie, do 20-21 VI, o ile publiczność dopisze” (T. Terlecki, Korespondencja teatralna 1955-1991, wyb. i oprac. M. Kuraś, Warszawa 2016, s. 83-84). Dwa tygodnie później, 30 maja 1957 r. Korzeniewski donosił Terleckiemu: „Chyba sam diabeł wdał się w tę sprawę. Na parę dni przed wyjazdem dostałem żółtaczkę. Ponieważ zawsze istnieje obawa, że może to być żółtaczka zakaźna, więc muszę iść na obserwację do szpitala. Potrwa to 7-9 dni. Jeśli więc wynik będzie pomyślny, to zapewne zdążę jeszcze na pierwsze przedstawienie. Jeśli nie – trzeba się będzie poddać złośliwemu losowi” (Tamże, s. 84-85). stracił w czasie pobytu w Londynie 20 kilo. Posłałem mu paczkę witamin.

Uściski dla Ciebie i Halusi.